

Eliminacje (fragmenty zbioru miniatur)

Joanna, matka motyla

Nie jest dzieckiem Hioba, jest moją córką. Istnieje pewien rodzaj strachu, który zna chyba każda przyszła matka. To strach o zdrowie dziecka. Jest też bardzo konkretny rodzaj ulgi. Przychodzi, kiedy słyszysz pierwszy, nieco dziwny i głuchy dźwięk bicia serca, a lekarz szczęśliwie dolicza się wszystkich kończyn. Ja czułam ten strach, czułam też tę ulgę. Później było jeszcze przyjemne napięcie oczekiwania, którego nawet ból porodu nie potrafił zdominować. Czekałam na pierwszy dotyk, na moment, kiedy położą to nowe, najpiękniejsze dziecko na moją skórę. Czekałam, ale oni zabrali ją od razu. Zrobił się popłoch. Pierwsze minuty minęły i nikt nie krzyknął: 10 punktów w skali Apgar! Nie mogli jej tyle dać, bo jej naskórek już na zawsze miał oddzielać się od ciała. Nikt nie mógł przewidzieć. Ból, powiedzieli, to będzie wieczny ból. Będzie delikatna jak skrzydełko motyla. Nie będziesz matką od tulenia i pieszczot. Będziesz pielęgniarką i pocieszycielką. Będziesz uczestnikiem spektaklu cierpienia, który nigdy się nie skończy. Z czasem nauczysz się reagować, zaczniesz walczyć z objawami, ale nigdy z przyczyną. Ona ci może umrzeć dużo za wcześniej, dodali. Przykro nam. Rozumiem, odpowiedziałam, jestem matką motyla.

Mama Marty, Piotrka, Marka, Grzesia, a niebawem również małej Zosi

Ze mną jest trochę jak z krową. I nie krzyw się na to porównanie, to ciekawe zwierzęta. Są cierpliwe. Tego często brakuje ludziom. Niezaspokojone, ludzkie pragnienie zmusza krowę do bycia notorycznie porzucaną matką. Jest ciężarna po trzech miesiącach od porodu. Po dziewięciu znowu przez kilka dni jest matką bo cielę, tak jak mleko, zabiera człowiek. I ja jestem właśnie jak ta mleczna krowa, obie funkcjonujemy zgodnie z kalendarzem rozrodczym. Powtarzamy cykle. Pierwsze moje dziecko zaczęło się rodzić na kartoflisku. Zeszłam w czas z pola, urodziłam w domu. Miałam wtedy 18 lat. Teraz mam 25 i zaraz urodzi się piąte. Czekam i tak bardzo się modłę, żeby już wypaść z tej pętli. Czy mój organizm jeszcze pamięta, jak to jest funkcjonować dla siebie, nie dla kogoś? To jest samolubne tak myśleć? Opowiadasz mi o tych, które tak nie mogą, a bardzo pragną. Ich macice nie są tak gościnne, ich piersi życiodajne. Moje są i przez to nie są już niczym innym. Macierzyństwo jest jak klepsydra, w finalnym rozrachunku zawsze któraś część się wypełnia, a gdzieś powstaje pustka. Nie zatrzymasz piasku w połowie. Chyba, że potrafisz igrać z naturą. Ja igram z mężczyzną. Chodzę spać, gdy on już usnie,

wstają, zanim się obudzi. Tak mijam się z nim i z tym szóstym. Płodność jest przekleństwem. Choćby mnie sam diabeł za te słowa ganił, nie cofnę! Nie myśl o mnie źle, ja kocham całą piątkę nad życie. Szóste też pokocham.

Danka i dziad, który tak naprawdę nie jest dziadem, tylko mężem Danki

A do trumny mnie proszę ubrać na czerwono, bo albo mnie dziad wykończy, albo ja przez dziada sama się zabiję. Wtedy wy to moje ciało wepchnijcie w najlepszą kiecę w kolorze krwistych maków, najlepiej z rozporkiem, żeby kawał uda wystawał. I zróbcie makijaż. Nie na modę domu pogrzebowego, tylko normalnie – oko niebieskie, usta w rubin. Niech stary dziad widzi, że nie babę stracił, tylko kawał mięsistej, markowej kobiety. I dalać, że po śmierci dusza wraca swoje sprawy domykać. Więc ja na czerwono, z rozporkiem po pachwinę będę mojego dziada dręczyć i nękać, i sen mu mącić, i dni mu szpecić, zmysły mu mieszać. Jeszcze zatęskni za moją ziemską formą. Aż mi do tej śmierci śpieszno, jak tak sobie zacznę wszystko wyobrażać. Bo widzicie, myśmy się od początku nie bardzo lubili, tylko matki nasze wpadły w zażyłość i przy którejś kawie z rumem wymyśliły nam to małżeństwo. Tośmy się na próbę skonsumowali i po tej próbie urodziłam syna. Próba średnio wyszła, chociaż syn całkiem udany. Mordujemy się ze sobą lat przeszło trzydzieści, pielęgnując troskliwie naszą nienawiść. I tak nas to pielęgnowanie pochłoneło, że żadne nie umie przestać. Chociaż ja się już łamię powoli pod ciężarem jego spojrzeń, gestów, splunąć. Obmyślam więc plan, jak odnaleźć swój spokój, nie dając jednocześnie spokoju staremu dziadadze. Planuję i przeglądam czerwone sukienki.

Stary człowiek w lipcu

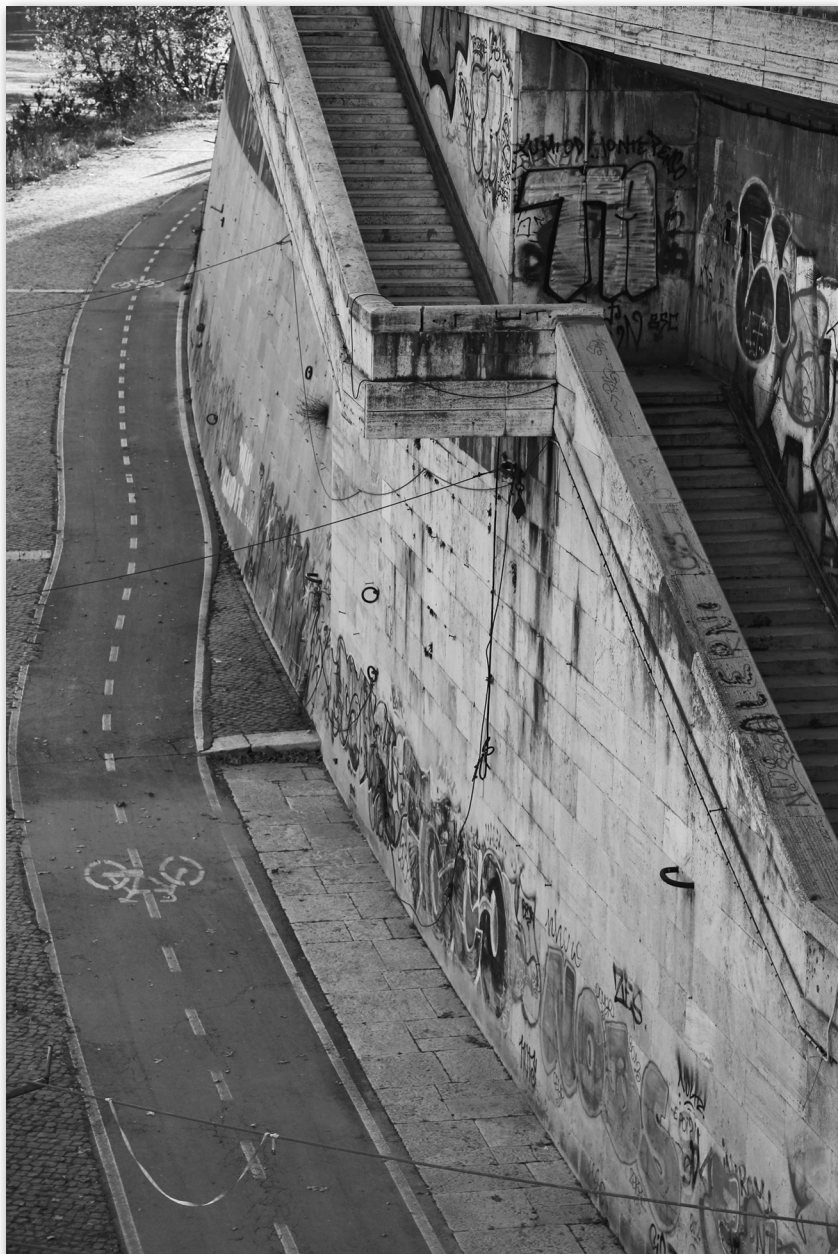
Opowiem ci o staruszku, który bardzo marzył. Był malutki i głuchy. Leżał sobie w lipcu, w prowincjonalnym szpitalu, wśród takich jak on samotnych ludzi. Rodzina? Może nie lubili, gdy im ktoś w domu umierał? A może mieszkał sam? Tych, co pojawiali się w białych fartuchach, cichym, ale stanowczym głosem prosił: do domu mnie, do doooooomu. Każdy drobny gest pomocy odwzajemniał szczerbatym uśmiechem. Zaczął marznąć w południe, gdy słońce grzało najmocniej. Zaduch w sali dusił pielęgniarke. A on marzył coraz bardziej i znowu prosił tych wszystkich na biało: daj mnie kapotę, kapoooootę mnie daj. Niech się uspokoi, upał, zaduch taki, spoci się tylko, kto go będzie mył? Taką odpowiedź by usłyszał, gdyby nie był głuchy. Więc prosił dalej: zimno, daj kapotę. A słońce dopiekało coraz mocniej. Znalazł w końcu litościwe, zielone oczy. Należały do chłopaka, który kiedyś zostanie lekarzem. Chłopak miał jeszcze miękkie serce, jeszcze się nie napatrzył i nie skamieniało. Znalazł więc zapasowe, szpitalne piżamy i po cichu ubrał w nie dziadka. Staruszek uśmiechnął się dziękami, słodko jak zawsze. I tak umarł wtulony w trzy piżamy i kołdrę.

Córcia

Mamusia umiera na smutną chorobę. Druga smutna choroba sprawia, że mamusia zapomina, że umiera. Zanim zapomniała zupełnie, wymykała się z domu i biegła na tory. Czasami zimą, bez płaszcza. Szukaliśmy jej, a ona siedziała na szynach i czekała na pociąg. Wiedziała, że pierwsza choroba przyniesie pewną i wyczerpującą śmierć, a ta druga tylko ją utrudni. Nie dość, że nie będzie w stanie samodzielnie jeść, to jeszcze zapomni, że w ogóle jeść trzeba. Obie choroby, w zaawansowanym stadium pozbawiają ją nawet możliwości odebrania sobie życia, więc póki miała jeszcze sprawne nogi i pamiętała, gdzie są tory, to biegła i czekała na pociąg. Znajdowaliśmy ją zawsze w porę. Raz tylko zdążyła lekko odmrozić sobie palce. Teraz już nie pamięta, że niedaleko naszego podwórka przejeżdżają pociągi. Ciekawe, czy o cierpieniu też można zapomnieć. Ostatnio kępałam jej coraz łżejsze ciało, a ona patrzy w moje zmęczone oczy i mówi: Psia krew, Kazik, jaki ty brzydki. Śmiałam się jak nigdy. Nawet ten najgorszy czas był dobry. Obie jej choroby są teraz bardziej moje. Ona wiedziała, że tak to będzie, mądra kobieta z mojej mamusi. Odwagi starczyło jej tylko na te nieszczęsne tory. A ja popadłam w zmęczenie, którego nawet nie umiem opowiedzieć. W najgorszych snach widzę, jak pociąg pędzi wprost na nią, a ja tylko przyglądam się z boku.



Jacek Bodzak, *Przełamywanie*



Jacek Bodzak, *Przełomy dają radę*